GŁOS KOBIET

10 gr.

Jedyne pismo kobiet pracujących

Nr. 5. Warszawa, 20 lutego 1936 r. Rok XXIX

Najważniejsze

Przy ul. Wiejskiej w Warszawie obraduje parlament: Sejm i Senat. Klasa robotnicza, chłopi, robotnicy nie brali udziału w wyborach we wrześniu 1935 r. Ordynacja wyborcza oddała losy wyborów w ręce administracji, nie było więc mowy o możliwości przeprowadzenia posłów czy senatorów według woli wyborców. Zasiedli więc w Sejmie i Senacie panowie i kilka pań. Obrady nie wzbudziły żadnego zainteresowania, zgóry było wiadomo, że panowie posłowie i senatorowie nie skrzywdzą panów ministrów, rządzących, zwłaszcza, że na ławach sejmowych i senackich pełno byłych premjerów, ministrów, wiceministrów i innych dygnitarzy.

Nie zdobyli się panowie „ustawodawcy" na przemówienia o treści głębszej. Osobiste porachunki między grupami: pułkowników czy innych sanatorów, miały raczej charakter kłótni w rodzinie.

Interesy ludności nie stały na pierwszym planie. A przecież cała dotychczasowa gospodarka siedzi na ławie oskarżonych i wszyscy urzędowi i „prywatni" obrońcy nie mogą się spodziewać innego wyroku, jak najsurowszego, bez uwzględnienia okoliczności łagodzących.

Przedstawiciele socjalistów czy ludowców od szeregu lat zapowiadali zbliżającą się katastrofę kryzysu.

Zaślepione władzą pułkownikowskie rządy od 1926 roku nie chciały widzieć ostrzegawczych sygnałów. Gnali przed siebie, aż statek osiadł na mieliźnie.

Wysyłają teraz, po niewczasie, rozpaczliwe wołanie o pomoc do całego społeczeństwa. O współpracy, wzajemnem porozumieniu, mówią panowie ministrowie.

Naprzód sponiewierano społeczeństwo, później odebrano mu prawa, ażeby rozbrojonych wzywać na pomoc. Niebezpieczeństwo stanęło już przed progiem i cały gmach rządów sanacyjnych chwieje się w posadach.

Zapóźno, zapóźno na współpracę. Cały świat pracy, jak ciężko doświadczeni chłopi, obdarte z zarobków masy robotnicze, głodująca inteligencja zrozumieli, że z sanacyjnego źródła żaden zdrowy, ożywczy prąd nie wytryśnie.

Rozlega się wielkie wołanie o porozumienie, o współpracę nad przebudową ustroju, o rządy robotników i chłopów. Zagadnienie władzy jest najistotniejszem i najważniejszem w najbliższej przyszłości. Władza w rękach ludu, to koniec bezrobocia, tej najstraszniejszej klęski, niszczącej organizm społeczny.

Lekarze kapitalistycznego ustroju nie poznali choroby, zapisali nieodpowiednie lekarstwo.

Pacjent, t. zn. ludzie pracujący zrozumieli, że grozi im zagłada, gdyby pozwolili w dalszym ciągu leczyć znachorom.

Ponieważ ci nieudolni lekarze nie chcą przyznać się do popełnionych błędów i ustąpić, toczy się więc walka na całym froncie o władzę.

Bo to jest właśnie najważniejsze.

Zwyciężamy...

W kronikach walk robotniczych pięknie zapisała się prowadzona w ostatnich tygodniach akcja zatrudnionych w fabrykach Państw. Monopolu tytoniowego i spirytusowego. Walka ta tem większe ma dla nas znaczenie, że była walką kobiet. Kobiety bowiem stanowią 85 proc. załogi robotniczej wytwórni monopolowych.

Pracownicy Monopolów zostali dotknięci przez nałożenie na ich szczupłe pobory specjalnego podatku. Pracujący trzy lub cztery dni w tygodniu zaledwie zarabiają i tak b. niewiele, to też nowe obciążenie wywołało żywiołowy odruch protestu. Protest ten wyraził się w formie nieprzyjmowania obciętych zarobków, oraz w codziennych przerwach w pracy na 1 godzinę. Wobec nieustępliwości władz strajk zaostrzono, przedłużając przerwy do 3 godzin.



....Dzieci pozostawały na noc w przedszkolach.

Strajkujące żądały, aby nałożony podatek pokryła Dyrekcja Monopolów. Podobne żądania metalowców z fabryk wojskowych zostały uwzględnione.

Pięć tygodni trwała walka. Nie brakło w niej momentów drastycznych. Robotnice, nie biorąc pieniędzy, mdlały przy pracy z głodu i wycieńczenia. Dzieci swe pozostawiały na noc w żłobkach i przedszkolach. Do izb zaglądał głód i chłód — ale przecie trzymały się dzielnie; dzieliły się każdym groszem, każdym kawałkiem chleba. Codziennie w czasie przerwy pracy odbywały się na fabrykach masówki, codziennie, bohatersko walczące kobiety manifestowały swą nieugiętą wolę zwycięstwa.

Nie pomogły groźby i represje. Akcja objęła wszystkie fabryki w kraju: w Łodzi, Radomiu, Grodnie, Wilnie, Winnikach, w Krakowie. Ze strajkującemi solidaryzowały się nawet nadzorczynie. Na bezrozumną szykanę pozwoliła sobie dyrekcja jednej z fabryk warszawskich. Oto do robotnic przychodziły tam ich dzieci, z któremi matki dzieliły się obiadami spożywanemi w stołowni fabrycznej. By dokuczyć robotnicom zabroniła dyrekcja wpuszczać owe dzieci na teren fabryki, rzekomo z obawy, aby matki dzieci tych nie pozostawiły na noc w fabryce.

Ale walki zdławić nie zdołano. I zakończyła się ona zwycięstwem. Dyrekcja monopolu zgodziła się pokryć w bardzo wielkiej części nałożony na robotników podatek. Robotnice odniosły więc piękne zwycięstwo, tembardziej chwalebne, że zawdzięczają je tylko własnej wytrwałości i solidarności.

Pismo nasze, w związku ze strajkiem robotnic monopolowych, wydało d. 1 lutego specjalne nadzwyczajne wydanie, obszernie omawiające sprawy strajku. Nakład tego wydania rozszedł się w błyskawicznem tempie.

Dziś po zakończonej tak pięknie walce przesyłamy wyrazy uznania dla dzielnych bojowniczek klasy robotniczej, z życzeniami, aby zawsze broniły słusznej sprawy razem, twardo i solidarnie.

Kobiety a mężczyźni

Kobiety udają, że równe są mężczyźnie, ale doskonale wiedzą, że tak nie jest; a zresztą dzieje się to z dobrym dla nich wynikiem, gdyż nie lubilibyśmy ich tak bardzo, gdyby były nam równe. Mają o wiele więcej dzielności, a cierpią i umierają z większą wytrzymałością, niż my, przytem więcej mają od nas współczucia i mniej próżności. Ich instynkt prowadzi je naogół pewniej przez życie, niż nas wiedzie rozum i dzięki temu nie tak często stają się głupcami.

Miłość znaczy w życiu kobiety o wiele więcej, niż u mężczyzny: stanowi dla niej wszystko. Kwestją zmysłów bywa ona u niej mniej często, niżby mężczyzna sądził. Kobieta może się zakochać w człowieku brzydkim, nawet starym, jeżeli mu się uda obudzić w niej wyobraźnię; natomiast mężczyzna nie potrafi się zakochać w kobiecie nie działającej na zmysły, które wbrew zamiarom natury działają na współczesnego mężczyznę dłużej niż jego seksualne zdolności.

Miłość trwa krótko, jak życie kwiatka. U mężczyzny umiera ona śmiercią naturalną w małżeństwie, u kobiety żyje często do końca, przyjąwszy formę macierzyńskiej tkliwości dla upadłego bohatera jej marzeń.

(urywek z „Księgi z San-Michele" Axela Munthe).

Co czeka młodzież?

Prawie piątą część całej ludności w Polsce stanowi młodzież w wieku od 15 do 25 lat. Właśnie o tej młodzieży chcę dziś pomówić.

W państwie, w którem rządzi pieniądz i rządzi ten, kto ma silniejszą pięść, obok najcięższej krzywdy kobiecej znajdzie się jej siostrzyca młodsza — krzywda młodego pokolenia tak dziewcząt, jak i chłopców.

Nie wielu z nich kończy szkoły powszechne, wybrani tylko kończą jakieś kursy i szkoły rzemieślnicze czy zawodowe. Więc z ledwością posiadłszy naukę czytania czy pisania — młody proletarjusz wchodzi w życie.

A na samym progu tego życia czeka go zawód i krzywda niezgłębiona. Nikt nie potrzebuje jego rąk do pracy, starsi nawet krzywią się, gdy taki młody im „chleb chce zabierać" i tak w bezczynności upływają najlepsze lata, w których zbiera się na wnętrzu gorycz i złość do wszystkich.

A jeśli nawet taki chłopiec dostanie robotę to: „oddaj pieniądze, żebyś na wódkę nie wydał, albo na składkę do tej jakiejś tam organizacji. Darmo ci mam chleb dawać, czy co?".

A cóż ten młody może zrobić, gdy mu nawet tych parę złotych na miesiąc kapnie za ciężką, jakże mozolną nieraz pracę, wcale o wódce może nie myśleć, a na złość matce czy ojcu pójdzie i po takiej rozmowie przepije swój marny zarobek, za który rodziny własnej założyć sobie nie może. A i organizacja mu zbrzydnie, gdy mu każdy grosz składki wypomną, a organizacja — to jedyne miejsce gdzie może żyć samodzielnie.

Z dziewczyną to jeszcze gorzej, bo ta nigdy z domu wyrwać się nie może, ani na spacer, ani nigdzie.

— „Garnków pilnuj! Posprzątaj! Widzisz, jakie dzieciaki brudne! Będziesz tam po spacerach łazić!"

A pewno zapomniała matka, że przecież młodej dziewczynie ruch potrzebny, musi się wśród ludzi obetrzeć, musi świat poznać, zresztą, jak do roboty się szczęśliwie dostanie nawet, to musi umieć się bronić przed ludźmi, którzy źli są i prędko gotowi tę młodą dziewczynę nieznającą świata skrzywdzić.

I tak wśród krzywd, których doznaje od świata przemocy i gwałtu, w którym żyjemy wśród bliskiej rodziny, która nie chce czy nie może, sama ciężko krzywdzona, zrozumieć swoich własnych dzieci, rośnie młodzież proletarjacka tak robotnicza w mieście, jak chłopska na wsi.

A przecież ta młodzież nie jest gorsza niż zawsze, jak się to mówi często.

Ma swe pragnienia wzniosłe, ma marzenia, chce walczyć o lepsze życie, o lepszy ustrój, gdzie będzie każdy człowiek potrzebny, każdy wysiłek uznany, każde słuszne pragnienie poparte.

Gdzie nie będzie miejsca na niezasłużoną ciężką krzywdę ludzką.

Młodzież chce walczyć w szeregu razem z całym proletarjatem, ramię przy ramieniu i z ojcem i z matką o świat socjalistyczny, który da wszystkim pracę, a jej — młodzieży — możność rozwoju, nauki i radości tak jej należnej, a tak obecnie mało przez dzisiejszy kapitalistyczny świat udzielanej.

W walce i w pracy

Przeszło 800 rob. fabryki „Ardal" co rano na głos syreny zjawia się do pracy, by w ciężkich warunkach pracy zarobić również liche grosze na życie.

Od godz. 7-ej trwa nieustanna praca do godz. 12-ej. Godzina przerwy obiadowej. Ale to nie dla nas. Robotnice „Ardalu" nie mają przerwy. Większość spożywa obiad nie przerywając pracy, inne porzucają ją na 10 minut.. Śpieszą się... Gorączkowe tempo pracy... Akord... — Myliłby się ktoś, ktoby sądził, że w ciągu 9-ciu godzin kończy się praca akordowa. Kończy się ją o godzinę lub dwie później. Nikt oczywiście za te godziny nie płaci. Pracujemy 60 godzin.

Ale o tem nie wolno było wspomnieć, bo za taką „mądrość" groziło wydalenie z pracy. Nam, robotnicom fabryki „Ardal", dotychczas kazało się milczeć i słuchać, bez szemrania wypełniać rozkazy pp. majstrów, inżynierów i t. d. Za chęć przeciwstawienia się, upomnienia o krzywdę, na głowy robotnic spadał deszcz kar, gróźb, najordynarniejszych wymysłów, lub wydalenie z pracy.

Za tę ciężką, wyczerpującą zdrowie pracę akordową robotnice otrzymują od 1 zł. do 1 zł. 40 gr. dziennie.

Każda nowa przyjęta robotnica, tak zw „uczenica", zarabia w ciągu 3-ch tygodni po 30 gr. dziennie, kilka następnych tygodni po 50 groszy, następnie długi, nieokreślony czas 1 zł. dziennie.

W tę koszmarną rzeczywistość może uwierzyć ten, kto miał możność widzieć chorobliwe, blade twarze, przygasłe, apatyczne spojrzenie młodocianych robotnic fabryki „Ardal", wśród których bywały wypadki częstego zemdlenia z głodu. A jeszcze sypią się kary na robotnice, jak za: zapomnienie numeru 50 gr., za przedwczesne wyjście z fabryki 50 gr. i t. p.

Warunki higjeniczne okropne. Przedewszystkiem wentylacja jest niedostateczna. W powietrzu o mdłym i smrodliwym zapachu unosi się gruba warstwa kurzu; kilka godzin dziennie dławimy się smrodliwym dymem — wydobywającym się z wulkanizacji; a nadomiar tego od czasu do czasu w fabryce unosi się gorzki, duszący młode płuca pył — przedostający się jak gaz trujący natychmiast do gardła. Zaledwie setna część gazów wychodzi nazewnątrz, a resztę wchłaniają płuca robotnicze.

Nikt się nie troszczy o to, by była sala obiadowa, łaźnia, oraz więcej światła, gdyż słychać częste narzekania na ból oczu.

Ale co to pana dyrektora obchodzi? Zbędna jest troska o robotnika, gdyż pod fabryką stoją nowe zasoby młodych sił.

Czas nareszcie **raz na zawsze z tem skończyć!** Tylko wspólną walką zdobędziemy znośne warunki życia.

Nikt nie wgląda w nasze życie, **ani władze administracyjne, ani p. Inspektor Pracy** (chyba przez ironję nazywa się naszym obrońcą).

Owszem, przeszkadzają na każdym kroku upominać się o ludzkie prawa aresztami, oraz doprowadzaniem łamistrjaków do pracy.

I dlatego należy stwierdzić, że skoro robotnicy sami nie wstaną do walki — **nikt nam nie pomoże.**

Ardalanka.

Dziecko i my

My — to wszyscy dorośli ludzie, to cały świat naszych spraw i kłopotów i trosk, to tysiączne nasze zdenerwowania i gniewy tak obce i niezrozumiałe dla dziecka.

Dziecko, to mniejsze lub większe stworzenie wrzeszczące niewiadomo dlaczego w kołysce, wiecznie plączące się pod nogami, zawsze o coś pytające, zabierające każdą potrzebną rzecz z pod ręki, robiące awantury na ulicy, czasami ściągające drobne pieniądze lub wynoszące z domu rozmaite drobiazgi.

Dziecko, to nie jest mały „dorosły człowiek" tylko głupi. To nie jest stworzenie, które myśli tak, jak my, tylko, że mniej rozumie i wie, bo jest młodsze. Wcale nie.

Dziecko to jest dziecko. Ma ono swój świat, swoje myśli i swój rozum. Wcale nie jest głupie i dobrze wie czego chce. Czasami ma także bardzo wielkie zmartwienia i swoje kłopoty, tylko, że my, zajęci swojemi sprawami, nie spostrzegamy tego. Przecież nie lubimy, żeby dzieci „zawracały nam głowę".

Niema dzieci dobrych i złych. Niema dzieci grzecznych i nieznośnych.

Są tylko dzieci rozumiane i nierozumiane. Dzieci kochane i dzieci niepotrzebne. Dzieci w rodzinie i dzieci samotne (choćby miały i rodziców i dziesięcioro rodzeństwa).

Każde dziecko potrzebuje serdecznej rozmowy, i przyjaciela, i kochania, a nadewszystko zrozumienia.

Musimy nietylko znać, lecz rozumieć nasze dzieci. Musimy przypatrzeć się im tak, jakbyśmy je widzieli poraz pierwszy w życiu i starać się je zrozumieć. Zrozumieć co sobie myślą, dlaczego takie są jak są właśnie, czego im potrzeba.

Najważniejszą rzeczą w wychowaniu jest zrozumienie. **J. M-P.**

Towary wywozimy
a ludność głoduje

W 1936 roku **110 MILJONÓW** dołożyliśmy do wywozu produktów zbożowych. **45 miljonów** zł. — do wywozu cukru. Sprzedano więc te towary niżej ceny kosztów, np. cukier po **7 GROSZY** za kg. do Anglji, węgiel po **25** zł. za 100 kg. do Szwecji.

Sól sprzedajemy po 2 — 3 grosze za kg. zagranicą.

Z pieniędzy podatkowych dopłaca się obszarnikom, cukrownikom, baronom węglowym i innym producentom setki miljonów.

Tymczasem szerokie masy chłopskie, robotnicze, rzemieślnicze, inteligenckie głodują w całem tego słowa znaczeniu.

Mięsa i cukru chłop i robotnik spożywa **10 razy mniej** niż robotnik angielski, a masło należy do artykułów zbytku, na który pozwalają sobie na wypadek choroby.

Wywozimy wiele artykułów spożywczych, bo ludność niedojada, nie opala mieszkań, niema ubrań, butów i t. d. Stopa życiowa miljonów obywateli na najniższym poziomie, to wynik takiej polityki gospodarczej.

Statystyka szkolna wykazuje prawie 40 proc. dzieci niedożywionych, chorych, z początkami gruźlicy, powiększonemi gruczołami. Komisje poborowe stwierdzają ogromny procent młodych ludzi niezdolnych do służby wojskowej, spowodu słabego rozwoju fizycznego (głodowali).

Wywożenie więc za dopłatą środków spożywczych za granicę, kiedy ludność nie może płacić wysokich cen, jest działanie na szkodę interesów państwa.

Chorym ludziom musi się dać chociażby skromną pomoc lekarską i szpitalną, bo głodowanie zmniejsza odporność organizmów, ludzie głodni i ziębnięci łatwiej chorują. Ceny artykułów pierwszej potrzeby muszą być obniżone Cukier po 50 gr. kg. znajdzie wielu nabywców. Matki i gospodynie nie będą zamykały tego „artykułu zbytku" na klucz, przed łakomemi dziećmi, a przecież cukier krzepi, jak głoszą reklamowe napisy. Angielskie dzieci i trzoda zjadają polski cukier a dzieci obywateli polskich nie znają smaku cukru.

Zamykanie cukrowni t. z. pozbawianie pracy robotników i rolników jest na porządku dziennym.

Cała gospodarka z głodującemi miljonami ludności i wywożonemi artykułami spożywczemi za „psie pieniądze", to najistotniejszy obraz ustroju, który nie wytrzymał próby życia.

Wychowalnia matek na Targówku

Czy wiecie jaka jest różnica pomiędzy dziennikarzem a innymi uczciwie piszącymi ludźmi? Otóż prawdziwy pisarz wysysa wszystko, jak się to mówi z palca, innemi słowy pisze rzeczy wymyślone, co mu tam serce czy inna dusza podszepnie, dziennikarz zaś, biedaczysko, takiej umiejętności nie ma i pracuje raczej, że tak powiem, nosem. To znaczy wścibia swój nos, gdzie się tylko da, i co zdoła nim wywęszyć, to opisuje.

Powiadacie, że niema między nimi takiej różnicy, bo to palec, a to nos, to część ciała i to część ciała. Niby racja, ale dla porządku chcę, żebyście wiedzieli, że ja jestem taka właśnie „od nosa" i wszystko, co opisuję to czyściutka prawda bez domieszek „z palca" czy „serca".

No więc przed paroma dniami wetknęłam ten mój ciekawski nos do pewnej lekarki z Ubezpieczalni, specjalistki chorób dziecięcych. W poczekalni „lekarza domowego", bo takimają teraz tytuł lekarze kasowi, huczy niczem w ulu. To znaczy gęsto, nieprzerwanie, ale niezbyt głośno. Siedzi tam już z tuzin matek, choć to dopiero początek przyjęcia, a przy każdej większy albo mniejszy roik dzieci. Przeszywają mnie niewiasty groźnem spojrzeniem, bo pcham się bez pardonu do pokoju lekarskiego, a tu porządek, wiadomo, kolejka. Odparowuję te spojrzenia-żądła łagodnem i niewinnem spojrzeniem, które ma wyrażać, że jestem zdrowa i dzieci Bogu dzięki, w porządku, zapadłam tylko na leciutką... ciekawość, ale przecież nikomu przez to w paradę nie wejdę — i wchodzę do gabinetu. A tu znów nie ul, ale istny młyn. W białych jak najlepsza mąka fartuchach zwijają się „pani doktór" i sanitarjuszka przy dzieciakach i miela wielkie strachy matek na drobne katarki, niewinne kaszelki.. póki nie nie natkną się na grubsze ziarno-widmo gruźlicy...

„No, z czem tam dzisiaj pani przychodzi?" — pyta „pani doktór" matki dwóch chłopaczków. Obaj już rozebrani prezentują spokojnemu wszystkowidzącemu oku lekarki nazbyt dziarsko wystające żebra i podejrzanie mączną biel skóry.

„A czy w rodzinie niema...", usiłuje zapytać „pani doktór", obmacując nabrzmiałe gruczoły malca, ale matka domyśla się końca tego strasznego pytania.

„Nie, „pani doktór", gruźlicy w rodzinie nikt nigdy nie miał, nie wiem tylko dlaczego tak się poci po nocach; coprawda to goraczkuje; o, mam tu zapisaną temperaturę z całego tygodnia..." — i podaje kartkę z nagryzmolonemi cyframi: 37 i 3, 37 i 5...

Wytrzeszczam oczy. Co to za mądra baba, rozmawia z lekarzem jakby sama lekarskie rozumy zjadła...

„Pani doktór" zapisuje obu chłopakom tran, a temu co nie gorączkuje na dokładkę kwarcówki. Sanitarjuszka woła już następną matkę z pociechą, która teraz oto stała się zmartwieniem.

„Strasznie rzęzi, pani doktór, aż spać nie może".

„Pani doktór" spokojnie, szybko i wolno zarazem, jakby za ścianą nie czekały dopełnione znowu do tuzina wielkie wory chorób dziecięcych, opukuje niemowlaka, sprytnie korzysta z rozdziawionej do płaczu buzi i zagląda do gardziołka; jednocześnie uśmiecha się do różowej jędrnej galaretki 8-miesięcznego ciałka.

„Nic mu nie jest. Tu ma pani receptę na krople do noska. To zwykły katar. A dzieciak bardzo dobrze utrzymany".

Matka aż rośnie z tego komplementu.

„To ten sok z marchwi, co to się bałam przedtem dawać, a teraz się przekonałam..."

Pani doktór już zajęta następnym bachorkiem, ale słyszy, jak to marchwiana odwaga tuczy dzieci i przyjaźnie zerka za odchodzącą dobraną parą: dumną z różowych policzków malca matką i jej „leciutko zakatarzoną" pociechą.

„Pani doktór" chmurnieje naraz nad wzdętym brzuszkiem dwuletniego „następnego". Patrzy na kartkę:

„Kiedy pani była w zeszłą środę już wszystko było w porządku".

„A teraz czyści go i czyści" — biada matka.

„No, niech się pani przyzna — huczy lekarka — dawała mu pani kiełbasy? Wszystko pani popsuła!"

„Jak Bozię kocham..."

„Ale dziecka pani nie kocha. Już widzę jak to nie dawała pani. To może serdelka?"

Matka-krzywoprzysiężczyni czerwieni się, miesza.

Nie kiełbasą go to serdelkiem.

Wstydzi się, że sama dzieciakowi zrobiła krzywdę. Widać z jej skruszonej twarzy, że teraz żeby góry mury, nie wiedzieć jakie imieniny, nic innego prócz kleiku smykowi nie da. Aż pani doktór pozwoli.

Wchodzą kolejno „następne" ze swymi „następcami" większymi i mniejszymi. Na pytania lekarki odpowiadają rozumnie, jakby się same już na chorobach dzieci trochę rozumiały. Doradzają nawet nieraz „pani doktór".

„Możebyśmy dali tranu?"

„Naturalnie — potwierdza „pani doktór" — damy tranu. A na powietrzu dużo dziecko przebywa?"

„Dwie godziny, jak „pani doktór" kazała".

Uderza mnie ta obopólna harmonja, to towarzystwo wzajemnej pomocy: lekarz i matka na wspólnym froncie. Lekarka rozmawia z matkami, jak gdyby to były conajmniej jej asystentki. Chcę zapytać, co to za dziwne matki, skąd się tu na Targówku wzięły? Skąd wiedzą, że lekarzowi dla odcyfrowania choroby potrzebne są pomiary temperatury z kilku dni, że nie wolno po ospie wietrznej posyłać dziecka do szkoły, chociaż wychodzi już na dwór, skąd wiedzą, jakie objawy budzą w lekarzu podejrzenia o gruźlicę? Ale nie sposób teraz wetknąć słówka. Młyn wciąż się kręci, a młynarka-lekarz w białym fartuchu szybko a spokojnie miażdży w żarnach swej wiedzy zaczątki krzywicy, różnych nieżytów i wyrzuca precz plewy matczynej nieświadomości i nieumiejętnego pielęgnowania dzieci.

A oto na chwilę wcieliła się w dobrą wróżkę, niosącą radosną wieść życia:

„Jest już analiza dla pani, — mówi do spopielałej z lęku matki, — nie wykryto dyfterytu. Płukać gardło jak dotąd".

Matka wyfruwa leciutko z gabinetu i leci do swego pisklęcia z tym radosnym wyrokiem.

Poczekalnia tymczasem przemieniła się z ula w prawdziwy kurnik: dolatują stamtąd kogucie piania. Na rejonie sroży się koklusz. Właśnie wchodzi do gabinetu taki sześcioletni piejący kogucik. Znów puk - puk po plecach, po piersiach...

Jeszcze dziesiątek stroskanych i rozchmurzonych twarzy, jeszcze kilka, wreszcie ostatnia. Ale teraz nie mam już potrzeby pytać „pani doktór", kto to wyszkolił te matki. I ja sama w ciągu tych kilku godzin nauczyłam się bardzo wiele. Wiem, że to ona sama jest nietylko rozkazującą lekarką: „20 kropel przed jedzeniem", „co 2 godziny stołową łyżkę", „ścisła djeta", — ale i mądrą nauczycielką, pouczającą dlaczego wydaje takie lub inne zarządzenia.

„Jej" matki od niej samej dowiadują się, że z temperaturą dzieciaka wyprowadzać na wolno, że powietrze to wspaniałe, choć bezpłatne lekarstwo, że z lada głupstwem niema po co przybiegać do lekarza, i że są głupstwa, których od początku nie wolno lekceważyć.

Ale w jaki sposób zdołała wszczepić tę naukę w tym kołowrocie, gdzie w ciągu paru godzin przewija się kilkadziesiąt chorych — to już jej sekret.

Mąci mi się leciutko w głowie, ale pani doktór po swojemu spokojnie śpieszy się nie śpiesząc do chorych na mieście. To znaczy na „drewnianej Warszawie", w rejonie Targówka. Będą tam oczywiście cięższe wypadki. Z dużą gorączką, z wysypką, zwiastującą odrę, szkarlatynę, z nalotami w gardle, co to niewiadomo, czy nie dyfteryt, uchowaj Bóg. I tam „pani doktór" nie będzie się zasłaniała tarczą nieprzeniknliwej wiedzy medycznej, tylko poprostu, po ludzku będzie pouczała matki: co, jak i dlaczego, a poco — to już matki wiedzą same.

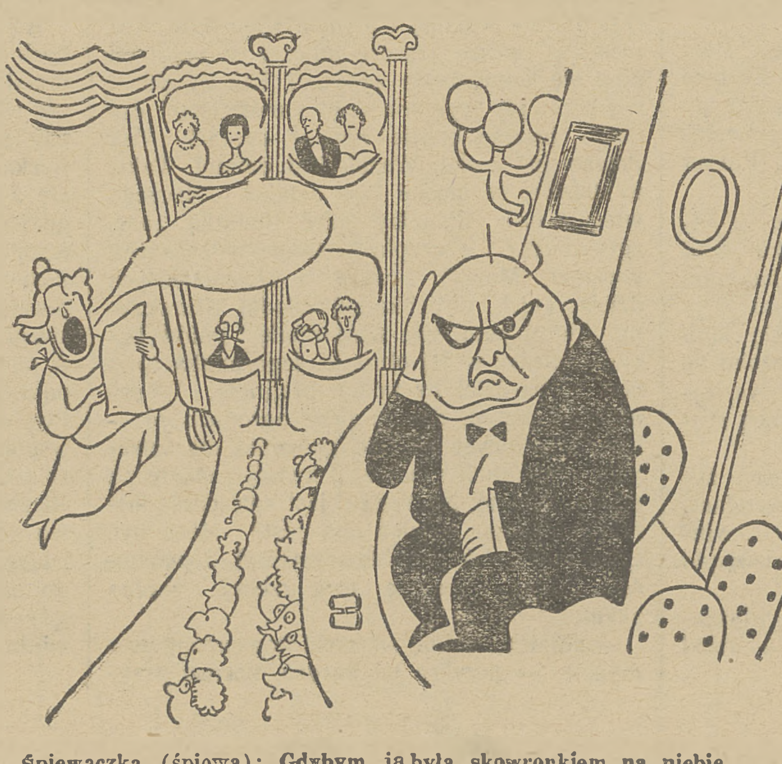
Żegnam się z „panią doktór" po pierwszej takiej wizycie „na mieście", gdzie zgromiła nazbyt „czułą" matkę, która nie mogła się przemóc, aby apatrzyć poparzonego dzieciaka i wyręczała swoje „słabe nerwy" wytrzymałemi nerwami sąsiadki.

I myślę sobie: dobry lekarz pracuje jednakowo dobrze niezależnie od tego czy jest w szpitalu, ambulatorjum, czy też we „własnem" mieszkaniu.

N. Zarembina

Na wesoło...

NA KONCERCIE DOBROCZYNNYM.



Śpiewaczka (śpiewa): Gdybym ja była skowronkiem na niebie...
Słuchacz (wzdycha)... A gdybym ja miał strzelbę...

OFIARA ARTRETYZMU

Pada deszcz. Na ulicy pod ścianą stoi mały chłopczyk i płacze. Jakaś litościwa pani podchodzi do niego i zapytuje:

— Czego płaczesz, maleńki?

— Ach, proszę pani, — odpowiada malec — to przez artretyzm i reumatyzm.

— Co? W tak młodym wieku?

— Tak, proszę pani, bo nie wiedziałem jak to się pisze i dostałem dwójkę.

DOBRE MANIERY

Sędzia:

— Oskarżony Wojciech Ćwok twierdzi, że ukradł z głodu. Dlaczego wobec tego ukradł oskarżony i nakrycie srebrne?

— A co, miałem rękami jeść?



KRAJ BEZ KOBIET

Podług Peter Bolta 4)

Każda z nich stała zupełnie spokojnie, rozważnie i bez wzruszenia, lecz z ciekawością przyglądając się stojącemu przed nią, przydzielonemu jej mężczyźnie. I odrazu brały go w posiadanie. Oczywiście nie bezkrytycznie. Krytyka ta jednak przez to słab.a, że to przydzielenie było prawne. Był to już jej mąż. Niedwołalnie. Wszystko więc było jak najlepiej i z tego punktu widzenia pozostawało już tylko jedno życzenie — ażeby był najlepszy.

Mężczyźni zaś stali pod tym względem daleko niżej od kobiet. Byli zdenerwowani, niespokojni, ciekawi i próżni. Nie mogli sobie znaleźć miejsca i taksowali kobietę, która im w udziale przypadła. Wzrokiem znawcy oglądali jej suknię, obuwie, ręce, mieli ochotę porównywać do innych i czasem niezręcznie ukrywali rozczarowanie.

Było to bardzo dobrze, że obrzędy ślubne odbywały się tak prędko. Wskazówki z Londynu były ściśle wypełniane.

Wszelako najważniejsze było to, że każdy mężczyzna dostał kobietę.

Przypadek kojarzył najdziwaczniejsze pary. Dużych z małemi, grubych z chudemi, młodziutkie kobiety z mężczyznami w wieku podeszłym, leciwe wdowy z zaledwie dorosłymi młodzieńcami. Na pierwszy rzut oka, niektóre z tych kombinacyj wydawały się prawie niemożliwe. Ale nie można już było się cofnąć! I żaden mężczyzna nie cofnął się ani też nie sprzeciwiał, gdy komendant przedstawiał mu narzeczoną.

— Numer 68! Oto tutaj mister Steve Parker z Coolgardie, a tu jest miss Evelyne Burnham, przyszła pani Parker! Proszę do pastora Cullana, stół Nr. 3! Proszę wziąć swoją narzeczoną pod rękę, panie Parker i iść dalej.

I w towarzystwie dwóch świadków, z narzeczoną pod ręką, trzymając w ręku swój numer podszedł Steve Parker do kapłana. Tutaj wszystko poszło również szybko. Wystarczyły dwie minuty, a odbył się ślub i pierścionki z brytyjskim herbem włożono na palce nowożeńców, którzy — zanim wyszli— musieli się jeszcze raz zatrzymać przed stołem urzędowym.

— W imieniu Jej Królewskiej Mości, życzę państwu szczęścia! — rzekł komendant.

— W imieniu Australji Zachodniej — winszuję państwu, — rzekł naczelnik rządu z Perth.

— W imieniu miasta Colgardie — winszujemy państwu i serdecznie witamy! — rzekł burmistrz Coolgardie.

Potem pary powinny były szybko, bez zatrzymywania się ,opuścić statek. Bagaż kobiet czekał już na nie na przystani. Powozy stały gotowe i wszyscy rozjeżdżali się natychmiast do siebie. Mężczyźni zawczasu już postarali się o to, żeby możliwie jak najprędzej dostać się do domu.

Osobliwe wdowieństwo

Pięć minut przed drugą w nocy ostatnia narzeczona została zaślubiona. „Hastings" był pusty, wyprzedany. Ale w palarni stał jeszcze jeden mężczyzna, trzymając kartkę w ręku. Świadkowie przedstawili go komendantowi:

„Numer 413 — Sim Ashton, telegrafista z Perth".

Komendant przez chwilę przyglądał mu się z ciekawością. Więc to był człowiek, którego szczęście małżeńskie zburzył naczelny steward Joe Smith przez wyciągnięcie kartki. Był to 26 letni, kształtny, dobrze wyglądający młody człowiek o jasnych bujnych włosach i niebieskich marzycielskich oczach. Pełen oczekiwania, zdziwiony szukał wokoło pytającym, niespokojnym wzrokiem. Przez cały ten czas był zdenerwowany. Wiedział, że jest ostatni i dawno już widział, że było o jedną narzeczoną za mało. Myślał jednak, że jakoś w porę jeszcze się ukaże. Może się spóźniła? A może zasłabła? Może w każdej chwili nadejść przez któreś z tych licznych drzwi i korytarzy. Wszak okręt jest tak wielki. Oglądał się wokoło. Upłynęła wieczność. Komendant wciąż jeszcze milczał i czyż on miał się komendanta zapytać? Tak by chciał wiedzieć, jak wygląda jego narzeczona i czy długo jeszcze będzie musiał czekać? Tak dawno już czeka. Wszak jest ostatni. Takie to dziwne, że musiał być ostatni. Dlaczego właśnie on? Chciałby mieć malutką żonę, zgrabniutką i szczupłą z długiemi czarnemi włosami. Marzył zawsze o ciemnowłosych dziewczętach, o delikatnej młodej dziewczynie, której poda swe silne ramię i gotów będzie walczyć w jej obronie. Jego matka również najbardziej by takiej pragnęła. W samotnym małym domku przy ogrodach przygotowała nawet miękkie gniazdko dla takiej małej delikatnej synowej. I kwiaty czekały na młodą kobietę. Wszystko jest tak porządnie przygotowane. Gdzież ona jest? Może być tylko taka, jak ją sobie wymarzył. Z pewnością układa jeszcze swe rzeczy, zapina suknię.

— Mister Ashton, — rzekł komendant uroczyście, — przykro mi bardzo, bardzo przykro. Młoda kobieta dla pana przeznaczona umarła nagle. Pochowano ją w Singapore. Szczerze mi żal, mr. Ashton! — I ze współczuciem uścisnął rękę młodego człowieka.

Jak nieprzytomny, zataczając się wyszedł Ashton z sali. Pokład i przejście na pomost były jeszcze oświetlone. Obu rękoma trzymał się mocno poręczy, czuł jak niepewnie trzyma się na nogach, wszystko mu się mąciło w oczach, nie widział żadnych linij, żadnych konturów domów, żadnych postaci. Jakaś ciemność go otaczała, w której daleko przed nim tkwiły żółte i czerwone światła. Za nim zaś była woda i „Hastings" a wszystkie jego nadzieje i oczekiwania leżały tam utopione w morzu. Musiał stąd uciekać jak najprędzej, dalej do miasta, w głąb kraju. Szedł z wyciągniętemi rękoma, prosto przed siebie, jak ślepy.

Dworzec kolejowy nie mógł już być daleko. Musiał się tam dostać, żeby móc jeszcze odjechać ostatnim pociągiem. Usłyszał głosy za sobą i stanął. Musieli to być ludzie, którzy również szli z „Hastingsa". Może byli to urzędnicy. Nie chciał się oglądać, nie chciał znowu widzieć statku ani żadnych ludzi, poszedł więc śpiesznie dalej. Wkrótce znalazł się przed dworcem. Słyszał gwizdanie lokomotyw, dzwonienie sygnałów oraz gwar hałaśliwego tłumu oblegającego dworzec, by odjechać ostatnim pociągiem. Wielu z tych ludzi było pijanych, tańczono i śpiewano przy akompanjamencie harmonijek, powtarzających wciąż tę samą melodję.

Ashton stanął. Tam, w tym tłumie pijanych ludzi, byli nowożeńcy. Ludzie, którzy przed godziną jeszcze się nie znali, nigdy się nie widzieli, stali tam teraz ręka w rękę, ramię przy ramieniu, złączeni na całe życie. Czekają niecierpliwie na odjazd pociągu, by się z hałasu i tłoku dostać do domu, który gdzieś na nich oczekiwał daleko na samotnej fermie ,albo w chałupie na złotonośnych polach w „bushu", lub też na suchej, słonej piaszczystej pustyni. Każda kobieta miała swego męża, każdy mężczyzna swoją żonę. A on czy nie miał żony? „Młoda kobieta dla pana przeznaczona, umarła nagle na statku". Powiedział to komendant, wyrażając mu swe współczucie. Młoda kobieta! Była z pewnością taka, jak ją sobie wyobraził: młode, śliczne, delikatne stworzenie, wątłe i wrażliwe. Jechała do niego, prosto do niego, z dalekiego kraju przez olbrzymie morze. Prosto do niego. Należała już z prawa do niego, gdy odjeżdżała z Anglji. Numer 413. I nie miała nikogo na świecie prócz niego.

(D. c. n.).



Wanda Wasilewska

DZIESIĘĆ ZA ZŁOTY

— Dziesięć za złoty! Dziesięć za złoty!

Leżą w koszyku okrągłe, złote słońca. Pachną daleką, nieznaną ziemią, z której pochodzą. Jaskrawią się radośnie na skraju zabłoconej ulicy w szary, ni to zimowy, ni to jesienny dzień.

— Dziesięć za złoty! Dziesięć za złoty!

Kobieta mocno ściąga końce obszarpanej chustki. Jest zimno. Przejmujący wiatr zawiewa od Wisły, ciągnie z przecznic. Natrętnie, uparcie wdziera się w fałdy wyszarzanej spódniczyny.

— Dać dziesięć?

Czerwone, popękane od spierzchnięć dłonie zanurzają się w ciepłą złocistość mandarynek. Okrągłe, złote słońca wędrują do papierowej torebki. W nadstawioną dłoń spada złotówka.

— Dziesięć za złoty! Dziesięć za złoty!

Źle jest reklamować swój towar w taką pogodę. Wilgotna, snująca się w powietrzu mgła jakby osiada w gardle. Matowieje głos. Coraz trudniej jest wołać: Dziesięć za złoty!

A tymczasem tuż, o parę kroków stoi druga. Młodsza. Ma silniejszy głos. Wykrzykuje bez przerwy: — Po dziesiątce, po dziesiątce! Słodziutkie mandarynki!

Drugi konkurent na rogu. Ma już czternaście lat. Ale wygląda na osiem, dziewięć. Sprytnie rozgląda się po przechodniach. Natarczywie namawia. Wprasza te swoje mandarynki. Przez serce kobiety przebiega nagle ukłucie zazdrości. Nikt przecież nie wie, że tam, w domu, czeka na nią troje. Mniejszych od tego sprzedawcy. Czekają, przylepiwszy noski do szyby. Czy już idzie — i czy zdołała wszystko sprzedać.

Przechodnie o tem nie wiedzą. Widzą tylko małego, zmarzniętego chłopca. Częściej podchodzą do tamtego koszyka.

— Dziesięć za złoty! Dziesięć za złoty!

Pomaleńku ubywa z koszyka złotych słońc. Godzina płynie za godziną. Daleko jeszcze do dna. Tam, w domu, przylepiają noski do szyb czekające dzieci.

Nagle trzaskają głośno otworzone gwałtownie drzwi sąsiedniego sklepu. Krzyk.

Tak. Pewnie, że właściciel sklepu musi płacić podatek, czynsz, pomocnika, światło, opał, i kto wie, co tam jeszcze. Pewnie, że dlatego nie może sprzedawać mandarynek po dziesięć groszy. Ale co ją to właściwie obchodzi? Ona myśli tylko o trzech jasnych główkach, o trzech noskach, spłaszczonych na szybie. To, że ludzie nie wchodzą do sklepu, żeby kupować mandarynki? Ach, to właśnie przecież jedyne szczęście i jedyny ratunek. Z nienawiścią patrzą oczy kobiet i oczy małego chłopca na tamtego konkurenta, zza szklanej szyby, zza lady, z prawdziwego sklepu.

— Dziesięć za złoty! Dziesięć za złoty! — ochrypłe wykrzykuje kobieta. W jej głosie brzmi teraz triumf. Za szklaną szybą wystawy, na stosie mandarynek, widnieje przecież kartka: Sztuka 20 groszy. A u niej nie. U niej tylko po dziesiątce. Ach, przychodźcie, za dziesięć groszy może sobie każdy kupić złociste, okrągłe słonko, pachnące daleką, ciepłą, nieznaną ziemią!

Tam, gdzieś daleko w ulicy wszczyna się nagły ruch. Zmęczone oczy, które zda się nie patrzą dalej, niż koszyk i chodnik, mają przecież bystrość jastrzębia. Błysnął tam daleko jakiś kolor niepowołany. Prędko, prędko łapie się na rękę ciężki jeszcze koszyk. Biegiem, chyłkiem, galopem popod murami kamienic. W przecznicę. W jakieś podwórko, którego chwilowo nie pilnuje stróż. Prędzej! Prędzej! Bo przecież nie płaci podatku i nie ma pozwolenia. I nie wolno robić konkurencji kupcowi zza szklanej szyby. Nieznośnie plącze się obłocona spódnica koło nóg. Ach, prędzej, prędzej!

Powoli mierzchnie dzień. Zapalają się wysoko kule lamp — przygasają złote słońca w koszyku. Teraz trudniej uważać, trudniej zauważyć granat munduru. Ale trzeba stać dalej.

Palce w skórkowej rękawiczce przebiegają w koszyku. Wybierają największe, najładniejsze owoce. Chciałoby się powiedzieć, że tak nie można — ale wtedy kupująca gotowa odejść.

— Zgniła! — mówi pani i kobieta uśmiecha się cierpliwie. — Tę, paniusiu, tę — słodziutka, zdrowiuteńka, — mówią machinalnie usta, a myśl notuje sobie pośpiesznie tę niespodziewaną stratę.

Wreszcie ostatek. Dwie nadpsute — te już zostaną dla dzieci. Trójka podzieli między siebie nadgniłe, zdradzieckie słonka. Nie poznają nawet — skądże by.... Powoli niosą zmęczone nogi. Kobieta w myśli oblicza zysk, swoje wystane całym dniem, wykrzyczane zdartem gardłem, wydreptane obolałemi stopami, rozmieniane zgrabiałemi palcami grosze.

Zrujnowali...

Okazało się, że Straż Ogniowa miasteczka, jego chluba i ukochanie, jawnie podupada i ginie. A wszystko z winy „letniaków". Co „letniakom" szkodziła straż ogniowa — niewiadomo, ale jak to „letniacy" zaszkodzili straży, o tem mówiło całe miasteczko.

Zaczęło się to już przed trzema laty. Właśnie przed trzema laty, w jakiejś najbardziej nieszczęśliwej godzinie, postanowiono na wielką doroczną zabawę na dochód Ochotniczej Straży Ogniowej (dochód z tych zabaw był jedynem niemal źródłem utrzymania całej organizacji) zaprosić „letniaków".

Największą atrakcją owych zabaw bywała od niepamiętnych czasów loterja. Fanty zbierano między ludnością i rozwinął się nawet specjalny hazard między ludźmi, kto wygra czyje.

Fanty były dziwaczne i nieprawdopodobne. Rzeczy nigdy i na nic nikomu niepotrzebne. I w tej właśnie ich absolutnej nieużyteczności tkwił dziwny, niepokojący czar. — Jakiś cieknący ale malowany pięknie garnuszek, szklanki o trochę tylko wypukłych dnach, malowany na szkle obrazek, prawie wcale nie wyblakły, bransoletka z prawdziwych korali, która się nie mieściła nawet na rękę niemowlęcia. Jakieś skomplikowane przyrządy, niewiadomo do czego służące (to dał aptekarz i nazwał „nargile") i prawie niezepsute.

Ale od czasu jak po fanty zaczęto chodzić i do „letniaków" — zepsuło się wszystko.

Bo co taki „letniak" ma? Co może dać na fant? Nic nie przywozi to z sobą z miasta, obywa się byle czem, leży cały dzień na słońcu i — albo gra w karty albo czyta. A na fant, ani chwili się nie namyśli i tka przeczytane już książki. Byle się odczepić.

Kiedy w pierwszym roku zaczęto wygrywać książki, troszkę się krzywiono, ale jeszcze niezabardzo. Każdy myślał — schowam i na przyszły rok, jak znalazł, dam na loterję. Ale na drugi rok już było gorzej. Nowi „letniacy" dali znowu książki, a poprzedniego roku wygrane powróciły także jako fanty. Żeby jednej zabrakło! Ale nie...

Tu już ludzie zaczęli kląć nie na żarty. I najgorzej naturalnie krzyczeli ci, co sami dali „dobry fant" — nie jakąś tam książkę.

A już w tym roku całkiem poszło źle. Na loterji były same książki: nowi „letniacy" dali nowe książki, dawne wróciły na swoje miejsce i nikt nie chciał ryzykować, dać coś naprawdę, a wygrać na loterji książki.

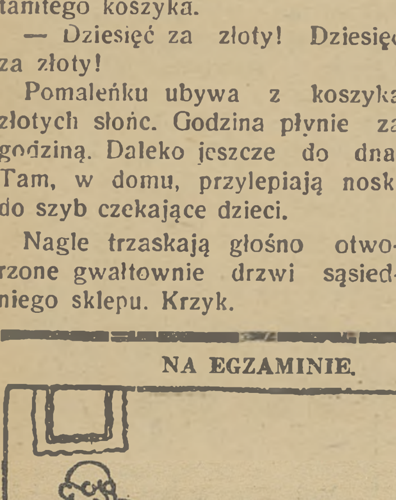
Więc i tacy się znaleźli, co specjalnie w Warszawie z kosza książek na fanty kupili, umyślnie, na złość.

Jak zobaczono na loterji same książki, to nikt biletów nie kupował. Opędzali się jak od much. Nie i nie. Nie chcą.

I tak została Ochotnicza Straż Ogniowa miasteczka, jego chluba i ukochanie, podstępnie zrujnowana przez chytrych „letniaków".

Czesława Wojeńska.

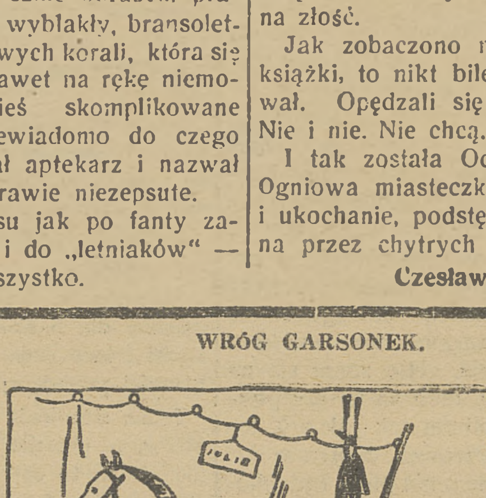
NA EGZAMINIE.



Profesor (do studenta medycyny): Więc co pan zrobi zaraz po rozpoznaniu choroby?

Student: Zażądam wypłacenia honorarjum. Czasy są niepewne.

WRÓG GARSONEK.



— No i popatrz, kochana. Czyż z długiemi włosami nie jest bardziej do twarzy?!

OBROŃCA.



— Mężu! Ratunku! W kuchni są złodzieje.

— Zamknij prędko drzwi na klucz. Jeszcze tutaj wejdą!..

Po niewoli — wolność

W carskiej Rosji znane było przysłowie: „Kura nie ptak, kobieta nie człowiek". W szerokich warstwach ludowych kobieta prowadziła życie niewolnicy, pełne udręczeń, poniżenia. Siła caratu miała oparcie w ciemnocie ludu. Pijaństwo i modlitwa to były objawy normalne. Mężczyźni pili wódkę i dla ulżenia bili kobiety.

Nowinkowa - Ważyńcowa, 73-letnia staruszka, opisuje w „Życiu Marynki" męczeńskie życie kobiety w Rosji.

„Urodziłam się w 1860 r. w gubernji moskiewskiej. Moja matka była służącą u dziedziczki. Mój ojciec był ślusarzem. Sam nauczył się czytać i pisać i chciał mnie także uczyć. Ale matka wyśmiała go: „Co ty sobie wymyśliłeś, mówiła, chcesz djabła rozweselić, żeby dziewczynie nie wiedzieć co do głowy pakować. Odkąd świat światem, nie było tego, żeby uczyć dziewczynę".

Nie udało mi się więc nauczyć czytania. Gdy miałam lat 12, zostałam robotnicą w tkalni, skromną niewolnicą bożą i niewolnicą mego własnego życia.

W 20-ym roku życia wyszłam zamąż za chłopa ze wsi Gawrykowo i zostałam niewolnicą mego męża. Miałam 10 dzieci, z których tylko 5 się wychowało, i ciężkie życie. Mąż bił mię, a ja się modliłam.

Wojna carska rozwiała dzieci po całym świecie — jedne poszły na wojnę, inne nie wiadomo gdzie. W 53-im roku życia opuściłam męża i poszłam do pracy jako wyrobnica. Wojna carska była straszną ciemną nocą. Miałam 56 lat. Pracowałam w Kijowie jako sanitarjuszka w szpitalu tyfusowym dla żołnierzy. Słuchałam jęków i przekleństw rannych i chorych, słyszałam, jak złorzeczyli wojnie, carowi i Bogu i doszłam do przekonania, że Boga — niema. W 60-ym roku życia całą duszą przejęłam się bolszewizmem. W 1923 r. kiedy pracowałam w Moskwie wybrano mię na zebraniu robotników i robotnic na delegatkę do Wydziału Kobiecego.

Wtedy zrobiło mi się przykro, że jestem taka stara i półanalfabetka. Ale w państwie socjalistycznem otwarte są okna do światła i nauki. I zaczęło się moje odmładzanie. Weszłam do robotniczego koła korespondentów. Kilka moich notatek półanalfabetki wydrukowano w gazecie.

Na początku 1924 r. zostałam emerytką. Ponieważ nie miałam pracy, czytałam gazetę „Delegatka". Raz zamyśliłam się nad obrazkiem, przedstawiającym, jak to teraz kobieta robotnica, gdy ma rodzić, idzie do jasnego szpitala. W starem państwie carów baba była traktowana jak bydlę, myślałam, i tak się wzruszyłam temi wspomnieniami, że mi łzy z oczu pociekły. Zrodziło się we mnie życzenie opisania dawnych czasów.

Ale od czego zacząć? Jak słowo przelać na papier? Ja tego przecież nie umiem...

Gryzłam ołówek, szukałam myśli w głowie... nie płakałam, tylko się w mem gorącem pragnieniu umacniałam coraz bardziej. Niemało czasu tak przeszło, ale wkońcu napisałam opowiadanie, które zatytułowałam: „Co sobie przypomniałam, czytając „Delegatkę".

Moje opowiadanie okazało się dobre. Wtedy napisałam na wielkim arkuszu: „Dawne czasy". Wszystko wydrukowano aż do ostatniego słowa i dano tytuł: „Gorzka krzywda — kobieca krzywda".

Od tej chwili byłam formalnie zatruta myślą o pisaniu. Teraz, postanowiłam sobie, trzeba się pouczyć. Kupiłam gramatykę i zapisałam się do bibljoteki, aby książki wypożyczać. I zaczęłam się sama uczyć w moim pokoiku, aby lepiej czytać i pisać. Między 1924—1928 r. ukazały się moje opowiadania w gazetkach kobiecych i w książkach.

Patrzę na te moje książeczki i dziwię się — czy to ja pisałam? Szukam w moich papierach: tak, to moje bazgroty, moje proste książeczki bez żadnych mądrości, ale się przydać mogą różnym półanalfabetom, mogą im pewne rzeczy wyjaśnić.

Od początku mojego autorstwa myślałam o napisaniu grubej książki o naszej kobiecie od jej urodzenia do dzisiejszej chwili. Na stole leży papier. W ręku trzymam ołówek. W pamięci płynie życie na wsi i w fabryce, żłobi się długa droga; droga usiana ciernistemi krzakami dawnego bytu z całą czarnością, z przykrościami, z chłostą, z gorzkim losem kobiety, ze łzami i poniżeniem. Niecierpliwie i wytrwale pisałam, ściśle mówiąc uczyłam się pisać, nowelę: „Życie Marynki". Ile mogłam, zdobyłam już wiedzy literackiej i moja pierwsza gruba ksiażka ukazała się w 1930 r. W 1933 r. 8 marca w międzynarodowym dniu kobiet miałam już 73 lata. Ale życie w Sowietach odmłodziło mnie i mam duszę komsomołki. Nie widzę jeszcze końca życia i mam nadzieję, że napiszę III część Życia Marynki o młodej generacji, która buduje jasną przyszłość.

Moja starość jest piękna i jasna i umrę jako najszczęśliwsza staruszka. To piszę dlatego, że chcę dowieść, jak nieprawdziwe były wszystkie sądy o kobiecie w czasach carskich. Niema bowiem trudności, którejby kobieta, gdy tylko chce naprawdę, nawet u schyłku swego życia nie zwyciężyła".

W życiorysie Nowinkowej-Ważyncowej ciekawe jest to, jak na nią wpływa godność delegatki. Odrazu czuje, że musi się uczyć: „wtedy — pisze — zrobiło mi się przykro, że jestem taka stara i półanalfabetka".

Mieszkamy kątem

Poznaliśmy się w organizacji młodzieży. Po dwóch latach pobraliśmy się i byłoby nam dobrze, gdybyśmy mieli własne, chociażby najskromniejsze mieszkanie. Nie byłam przyzwyczajona do wygód, wiadomo, w rodzinie robotniczej gnieżdżą się ludzie, jak pszczoły w ulu, młodzi i starzy, swoi i obcy.

Jednak odczułam najcięższej tę straszną niewolę dopiero po zamążpójściu. Całe nasze mieszkanie, to łóżko, bo niema miejsca, żeby inne sprzęty postawić. Nie mamy żadnych widoków na zmianę tych ciężkich warunków, chociaż mąż mój pracuje, bo najskromniejsza izba kosztuje 40 — 50 zł. miesięcznie, i to na przedmieściu, często bez wody i kanalizacji. Teraz zrozumiałam treść rozmaitych referatów, czy artykułów o budownictwie socjalistycznem, na własnej skórze doświadczyłam, w jak marnych warunkach żyjemy.

Chociaż mąż mój jest człowiekiem spokojnym i nie szuka zwady, to dla całej rodziny jest jednak człowiekiem obcym. Są przecież różnice w charakterach i pewnie my oboje moglibyśmy uzgodnić między sobą niejedną sprawę, gdyby ci inni nie mieszali się do naszego pożycia.

Widzę, że wspólne mieszkanie z braćmi i siostrami, dorosłymi ludźmi, doprowadza do nieporozumień, bo jest nas za dużo w ciasnem mieszkaniu, a gospodarstwo prowadzone przez siostrę, nie podoba się mojemu mężowi.

Niema więc w domu spokoju ani możliwości odpoczynku i widzę, że z tych właśnie powodów życie nasze nie układa się tak, jak się spodziewałam.

Zdaje mi się, że gdybyśmy mieli własne mieszkanko, a nie kąt, byłoby nam lepiej. Czy możemy zdecydować się, żebym miała dziecko! W tej ciasnoście! A tak bardzo pragnęłam mieć dziecko.

Stawiają w Warszawie wspaniałe gmachy dla banków i urzędów, pomniki i inne cuda, ale mieszkań dla ludności pracującej nie widzimy.

Jedna albo dwie kolonje dla robotników, to przecież za mało. Widocznie nie są to sprawy najważniejsze, skoro można je odkładać z roku na rok.

Tymczasem ludzie męczą się w przepełnionych mieszkaniach i marnuje się nietylko zdrowie, ale i szczęście wielu rodzin, już na progu życia.

Mieszkanie dla każdej rodziny uważam za sprawę o tak wielkiej wadze, że pragnę zainteresować czytelniczki i czytelników „Głosu Kobiet", a i redakcję proszę, żeby się wypowiedziała w tej sprawie.

Leokadja Miś.

Jeszcze o małżeństwie i zdrowiu

W ostatnim numerze „Głosu Kobiet" artykuł mój z higjeny małżeństwa wywołał duże zainteresowanie czytelników; między innemi listami, redakcja nasza otrzymała sążnisty list jakiegoś towarzysza z Przeworska, któremu odpisuję tu tylko pokrótce spowodu braku miejsca w tym numerze.

Naprzód, bardzo nas zdziwiło, że ten towarzysz uznał, iż sprawa reformy (zmiany) obecnego prawa małżeńskiego jest „nienaczasie" i w złem świetle przedstawiona" — i kończy swój list tak: „co Bóg założył, tego niech człowiek nie zmienia".

Żeby to powiedział jakiś ksiądz, co żyje z tego, że drogo bierze za ślub, chrzest albo pogrzeb, — to jest zrozumiałe, bo każdy człowiek żyjący tylko dla pieniędzy, bez żadnych wielkich ludzkich ideałów, tak uparcie trzyma się starego, zacofanego systemu; żeby tak mówił zakrystjan, albo ciemna, otumaniona stara dewotka, to także jest zrozumiałe, — ale żeby takie zacofane, przestarzałe, bezkrytyczne zdania wygłaszał *ktoś uważający się za socjalistę*, to znaczy człowieka walczącego z przesądami, z wyzyskiem, pragnącego sprawiedliwych zmian życiowych i politycznych, pragnącego podniesienia oświaty, zdrowia, dobrobytu dla robotników i chłopów, *dla całego Świata Pracy*, trudno poprostu uwierzyć!

Nie, towarzyszu, podpisany literami *K. M.*, za mało wnikacie nietylko w to, co się dzieje na świecie, ale nawet w to, co się dzieje wokół was, nawet w waszym Przeworsku. Dziwicie się, że ja, doktór, leczący chorych już przez 35 lat, ja mająca w tym kierunku wykształcenie i praktykę życiową, ja, która jestem często w niemocy i rozpaczy, gdy widzę chore, nieszczęśliwe dzieci, *obarczone chorobami dziedzicznemi*, z powodu pijaństwa, chorób wenerycznych lub suchot ich rodziców, ja, z całem zrozumieniem konieczności dla dobra ludzkości, domagam się *świadectwa zdrowia przy zawieraniu małżeństw*. Nie znam się na szyciu butów, albo na tkaniu płótna, nieumiałabym tak jak wy, towarzyszu, pracować dobrze w fabryce — i o tem nie piszę i nie mówię; cenię pracę wszystkich: i tych, co pracują głową i tych, co pracują rękami; nie znoszę tylko leniuchów, próżniaków i burżujów, żyjących z cudzej pracy.

W specjalnym artykule napiszę do *„Głosu Kobiet"* o tem, coście poruszyli w swym liście, że „o ile proletarjusze ograniczaliby liczbę swego potomstwa, to byłoby bardzo źle i program P. P. S. nigdyby się nie spełnił". Jesteście zupełnie w błędzie i o tem napiszę.

Dr. Budzińska -Tylicka.

NA SZEROKIM ŚWIECIE

OPIEKA NAD DZIECKIEM W ROSJI SOWIECKIEJ.

W Rosji carskiej było 14 żłobków dla dzieci robotnic przy fabrykach.

W 1932 r. w Sowietach zorganizowano 365 tysięcy 210 żłobków. Na utrzymanie ich składają się opłaty: państwa, fabryki i związków zawodowych, specjalnych instytucyj społecznych oraz składki od rodziców, zarabiających powyżej 150 rubli.

Dzieci przebywają w żłobkach 8 i 12 godzin, albo i przez noc, o ile matki pracują na nocnej zmianie.

Można je zostawić przez wszystkie dni pracy i zabierać na piąty dzień, wolny.

Na wsiach istnieją żłobki letnie, przystosowane do czasu pracy w polu.

Śmiertelność niemowląt spadła znacznie.

W przedszkolach w 1932 r. było 5 miljonów 231 tysięcy dzieci, w szkołach 20 miljonów 900 tysięcy. W 1938 r. ma być 30 miljonów dzieci.

TURCJA. W przedwojennej Turcji kobiety żyły jak niewolnice. Wielożeństwo było przez prawo dozwolone, w haremach bogaci Turcy mieli po 100 i więcej żon. Kobietom nie wolno było pokazywać się mężczyznom inaczej, jak z zasłoniętemi twarzami. Młoda dziewczyna widziała męża swojego dopiero przy ślubie. Kobiety - niewolnice bardzo prędko dorównały mężczyznom, skoro tylko zdobyły prawa i wolność.

W parlamencie tureckim zasiada 17 kobiet - posłów.

DZIEŃ MATKI W BELGJI. W maju organizują socjalistki belgijskie wielkie demonstracje w całym kraju przeciwko wojnie, pod hasłem: „Dzień Matki".

Synowie, którzy nie pójdą na wojnę, to najpiękniejszy podarunek dla matek. W trudzie i znoju rodzi i wychowuje matka swoje dzieci, a szaleństwo i zbrodnia pcha młodych ludzi na fronty wojenne, jako żer dla armat, drutów kolczastych, gazów trujących.

Przeciwko barbarzyństwu wojen organizują się kobiety w Belgji.

W ANGLJI odbędzie się w kwietniu wielka konferencja kobiet socjalistek. Tematem obrad będą sprawy odżywiania ludności i zaopatrywania w środki spożywcze.

Bezrobocie sieje straszne spustoszenie w zdrowiu, zwłaszcza młodzież i dzieci, źle odżywiane, skazane na choroby płuc, gruczołów, upośledone w rozwoju fizycznym, to troska społeczna o pierwszorzędnem znaczeniu. Konferencja rozpatrzy także zagadnienie warunków pracy kobiet w biurach.

HITLEROWSKIE RZĄDY.

W Niemczech faszystowskich ogłoszono prawo, nakazujące *30 tysiącom* kobiet, gospodyniom, kucharkom, pomocnicom domowym, wychowawczyniom pracowania w domach żydowskich, o ile nie mają 45 lat. W ten sposób dziesiątki tysięcy kobiet znalazło się na bruku, pozbawione pracy, albo odesłano je do obozów pracy przymusowej.

Hitler nie pozwala kobietom pracować u żydów; woli, żeby niemki uprawiały prostytucję.

Nasze listy

Rozmawiamy

Każdy nowy numer „Głosu" przysparza nam nietylko czytelników, ale i korespondentów. Otrzymujemy coraz więcej listów. Ogromnie radzi jesteśmy z tego „równouprawnienia": my piszemy — i do nas piszą, my odsłaniamy swe oblicze, i nasi czytelnicy uchylają przyłbicy, my dbamy o rozwój pisma i spośród czytających wysuwają się ku nam przyjazne dłonie.

Ten odgłos „z drugiej strony frontu" czyni nasz wzajemny stosunek daleko łatwiejszym i sympatyczniejszym. Bo, proszę pomyśleć, jaka to trudna i niewdzięczna sytuacja pisać dla kogoś niewidzialnego, usiłować rozwiewać czyjeś wątpliwości, przekonywać o słuszności swych poglądów — i nie mieć najmniejszego pojęcia, jak ten ktoś na to reaguje. Zupełnie jak ten dziad, co to przemawiał do obrazu, a obraz...

Jak to dobrze, że nasi czytelnicy nie chcą poprzestać na biernej roli odbiorców cudzych myśli, że meldują nam coraz częściej i dobitniej swemi listami: „Słyszymy was, rozumiemy, z tem się zgadzamy, tego nie uznajemy"... W ten sposób współpracują z nami, kształtują razem z nami pismo.

Że listów jest dużo, to bardzo dobrze. Ale, że są duże — to gorzej. Jeśli chodzi o odczytanie tych listów przez redakcję — cała przyjemność jest po naszej stronie. Ale autorowie ich chcieliby je widzieć w całości na łamach „Głosu" — a to jest niepodobieństwo. Poprostu nie zmieściłyby się, albo zamieniłyby pismo w jedną wielką skrzynkę pocztową. Tego chyba nikt nie chce.

Drodzy czytelnicy. Piszcie dużo — to znaczy często, ale dobrze, to znaczy krótko.

Oto list naszej czytelniczki, któraby pragnęłaby jeszcze bliższego kontaktu nietylko pomiędzy pismem a czytelnikami, ale zbratania czytelników „Głosu Kobiet", jako ludzi powiązanych jednością idei, poglądów i dążeń.

Kto jestem i co chciałabym

Jestem czytelniczką i przyjaciółką „Głosu Kobiet". Interesuje mnie to pismo, bo choć nie jestem jeszcze mężatką i nie mam kłopotów rodzinnych, jednakże odczuwam i przeżywam krzywdy kobiece, gdyż również jestem zorganizowaną kobietą pracującą. A że lubię po „swojemu" pisać o czem myślę, przeto pragnę być w stałym kontakcie piśmiennym z „G. K.". Rozpoczynam więc listem tym swój egzamin, jeśli się list nada, b. chętnie napiszę jeszcze. Tyle co do tego, kto jestem, a teraz co chciałabym.

Chciałabym, ażeby wszyscy czytający „Głos Kobiet" poczuli się i stworzyli jedną wielką Rodzinę. Bywają takie kłopoty domowe, jak domowa pomoc w nauce dzieciom, nauczanie dorosłych analfabetów, przeróbki ubraniowe dla dzieci, co z braku funduszów nie daje się uskutecznić, a przy wzajemnej pomocy i wzajemnem przysłużeniu się dałyby się możliwie załatwić. Otóż kobiety — czytelniczki „Głosu Kobiet" nie mogą być sobie obce. Należy stworzyć żeńską armję „Głosu Kobiet", która miałaby swoje zebrania, swoje sekcje, swoje skromne warsztaty własnych rąk, swoje uczelnie (nie uniwersytety). Wszak każda z nas ma inny zawód, każda coś umie, w jednym domu brak tego, w innym czegoś innego — a przecież jak miło jest nawzajem sobie pomóc.

Może ktoś powie, że propozycja moja pachnie filantropją — ja jednak nie jestem filantropką — i zdaje mi się, że dobrze myślę.

Np. bogaci w razie potrzeby przyjmują nauczycielkę domową, szwaczkę, hafciarkę. Nasze warunki materjalne na takie zbytki nie pozwalają, a ileż jest spraw domowych, do których gospodyni, zajęta codziennemi troskami, niema kiedy zajrzeć. Są też małe dzieci bez opieki, bo wszak nie każdemu danem jest być w przedszkolu, dzieci, które nie mają zabawek, a przecież z pomocą naszych rąk i prawie niekosztownego materjału, ileż pięknych rzeczy zrobić można dla radości małej dziatwy. Każda z nas pracuje, ale trochę czasu zawsze pozostaje, więc przy dobrej woli i przy wspólnym wysiłku można sprawić sobie dużo zadowolenia.

Ze swej strony służę, ile mogę, czasem, pracą, wskazówkami w robieniu zabawek i proszę aby Szan. Czytelniczki wypowiedziały się w tej sprawie. Dońka.

**

Kto wie — może list ten spowoduje powstanie jakichś klubów naszych czytelników. Redakcja chętnie i czynnie przyklasnęłaby takiej inicjatywie.

A teraz oddajemy głos odważnej kobiecie, która nie boi się wskazać wyraźnie jednego z najzaciętszych wrogów wolności kobiety — mężczyznę.

Bliski wróg

Kto walczy, ten ma przeciwnika. Bywa jednakże, że oprócz głównego wroga walczący ma jeszcze pobocznych, wewnętrznych, domowych wrogów i wtedy walka jest dużo trudniejsza, a dola bojownika dużo cięższa. W takiej to roli ciężkiej i żmudnej znajduje się kobieta w walce o wolność, równość i pracę. Jej głównym przeciwnikiem jest ustrój kapitalistyczny, lecz nietylko on niweczy jej śmiałe dążenia — również i instynkt mężczyzny. Mężczyzna towarzysz, przyjaciel, mąż, brat, ojciec jest także jej wrogiem, choć często nie zdaje sobie z tego sprawy. „Kobiety, no kobiety" — na ustach mówiącego te słowa zjawia się pobłażliwy uśmieszek.

Nawet mały sztubak nie chce się bawić z dziewczynkami — „bo to są baby".

Mężczyzna sam, jako taki, nigdy nie miał potrzeby walczyć o swe prawa, sam był panem świata; owszem walczył jako człowiek, robotnik, przedstawiciel swej narodowości, ale nigdy jako mężczyzna w ścisłem tego słowa znaczeniu. Cóż on wiedzieć może ten „cywil" o walce, której nigdy nie skosztował, wobec kobiety, wciąż walczącego żołnierza.

Kobieta zwalcza ustrój kapitalistyczny, tę najistotniejszą przyczynę jej niewoli i nagle jest jakby w dwa ognie wzięta. W domu, w czterech ścianach swego mieszkania znajduje nowego przeciwnika, mężczyznę, który w walce ogólnej, klasowej staje na jednej placówce i pod jedną chorągwią z kobietą robotniczą.

„Równouprawnienie — emancypacja — ależ owszem, owszem, my to na sztandarach naszej walki socjalnej wypisaliśmy: „Niech żyje kobieta — emancypantka!" — wołają chórem mężczyźni. „Ale w moim domu niech będzie po staremu" — dodaje każdy z osobna. Kobieta upodobnia się do mężczyzny, w przekonaniu, że tą drogą dojdzie do wyzwolenia.

Drugi typ — kobiety — społecznicy, która z prawdziwem oddaniem, z całym zapałem oddaje się wiedzy i pracy organizacyjnej, rzuca szminkę, kokieterję, ubiera się skromnie, żyje w atmosferze pracy. Chce być wolna. Ale mężczyźni takiej wolności nie uznają. Im wolno żyć „inaczej", bo takie prawo odwieczne.

Zresztą, kiedy zdobędzie się na pewną wyrozumiałość, to myśli: kobiety, no kobiety wszystkie, ale przecież nigdy jego żona, córka, siostra, koleżanka czy przyjaciółka.

Nie bronię wszystkich kobiet, wiem, że są nawet wśród młodych wiekiem wcale nie młode duchem kobiety, ale wiem też i że jest duży procent kobiet naprawdę wyzwolonych, które potrafią żyć i stworzyć wokoło siebie atmosferę wręcz przeciwną naszej obskurnej moralności mieszczańskiej, natomiast tolerancyjny mężczyzna jest dopóty wolnomyślny, póki nie wchodzi w grę jego osoba. „Cała ta walka kobiet, hasła, żądania, przywileje — to nawet dość ładne — ot młodzieńcza pierś musi się wykrzyczeć" — myśli mężczyzna — „ale ostatecznie, ja osobiście tego nie lubię".

Mimo wszystkich przeszkód i trudności, pozostaje typ kobiety naprawdę wyzwolonej. Mężczyźni także się odrodzą duchowo, bo zaczną działać głęboko sięgające wpływy nowych prądów.

Dla zacofańców nie będzie miejsca w nowym świecie.

N. A.

Wszystko to prawda, ale nie dotyczy każdego mężczyzny, tylko nieuświadomionego dostatecznie głęboko i szczerze.

**

Wszystkim czytelniczkom, które zapytują kiedy podamy ***DALSZE ROBOTY NA DRUTACH*** *— odpowiadamy: w następnym numerze.*

W naszym domu

Ładne bluzki



Dokąd wybierają się te dwie panie w tych prześlicznych bluzkach? Dokąd zechcą: i z wizytą i do teatru i do biura — bo teraz moda na bluzki, wszędzie są odpowiednie. I niemniej odpowiednie, by włożyć je po skończonej w domu pracy. Niech mąż i dzieci też mają przyjemność patrzenia na ładnie ubraną żonę i mamusię.

Ta bluzka na lewo jest reglanowa. Ukośne zakładki z jednej strony nie dochodzą do końca, tworząc oryginalną falbankę. W miejscu jej rozpoczęcia trzy duże guziki — zapięcie. Rękawy ozdobione - również guzikami. Pasek wiązany na kokardę z przodu.

Druga bluzka z tak noszoną obecnie małą baskinką. Rękaw dość szeroki, bufiasty, ściśnięty obcisłym mankiecikiem. Wstawka na samym przodzie (w poprzeczne paski) może być z innego materjału w kolorowe paski, lub rzucik). Ale najlepszy efekt osiągnie się, jeśli cała bluzka będzie z materjału w paski, tylko poprzecznie ułożone na wstawce, podłużnie zaś na reszcie bluzki. — Pomysłowo sfalowane klapy tworzą coś w rodzaju żabota — spiąć go, jak na rysunku, klamrą okrągłą, albo dużą broszką. Jeśli chcemy, ażeby trzymał się sztywno — uszyjmy tę bluzkę z tafty.

Zwracam uwagę na małe rysuneczki, które pokazują, jak te bluzki wyglądają stylu.

Jak poznać dobre płótno

Przy kupnie płótna fabrycznego bardzo trudno poznać, jakie jest dobre, a jakie złe. Bardzo często płótno niby czysto lniane ma domieszkę bawełny. Łatwo to wykryć. W tym celu trzeba kapnąć na płótno ździebko oliwy. Jeśli są w niem również nitki bawełniane, plama po oliwie będzie niejednostajna, gdyż oliwa barwi len inaczej, ciemniej, a bawełnę jaśniej. Plama będzie miała smugi, które ujawnią fałszerstwo. Czysto lniane płótno da plamę jednorodną.

II-ga serja magicznych sztuk kulinarnych

Ludzie są właściwie bardzo śmieszni i dziecinni. Zwłaszcza w sprawach jedzenia. Im mniej jakaś potrawa podobna jest do tego, z czego ją zrobiono, tem więcej im smakuje.

Cała sztuka przyrządzania potraw — to mistyfikacja.

Każda gospodyni stara się jakgdyby ukryć pochodzenie potrawy, którą przyrządziła, wmówić w jedzących dzieło jej rąk, że zupełnie coś innego, niż im się wydaje ze smaku, mają w ustach. Pomidorom i jajom np. każe udawać, że są grzybami (znany figiel letni: jajko ugotowane na twardo — to nóżka grzyba, główką zaś jest połówka pomidora, nałożona na jajko), grzybom zaś każe podszywać się pod pieczeń.

A przyjrzyjcie się wystawom sklepowym. Ile pomysłowości ludzie wkładają w sztukę oszustwa kulinarnego! Macie tutaj czekoladki; jedna jest w kształcie kotka, druga baranka, trzecia ma ludzką postać. Albo marcepany — to kalafior, marchewka, kiełbasa. Prawda, jakie dowcipne? Wkładasz do ust zwykły serdelek, i czujesz naraz wspaniały słodki smark marcepanowy.

Nie wiem, kiedy się zaczęła u ludzi ta zabawa przeinaczania jedzenia — napewno bardzo dawno, dość, że weszła w zwyczaj i każda niewiasta jest bardzo zadowolona, gdy się jej powiedzie.

A pomysłowość swą najbardziej wyostrza, gdy chce zadziwić gości. Pamiętacie, w poprzednim numerze opowiadałam o mej znajomej, która odznacza się specjalnem uzdolnieniem w tej dziedzinie i obiecałam wydostać od niej jeszcze kilka sekretów. Zdradziła je z zastrzeżeniem, że będą do użytku wyłącznie czytelniczek „Głosu Kobiet".

A więc proszę:

„ŁOSOSIOWY PIKLING".

Obrać piklinga (wędzony śledź) ze skóry, z ości i drobno posiekać. Posiekać drobniutko, trochę cebuli i zanurzyć na kilka minut w oliwie. Ugotować 2 jaja na twardo, żółtka utrzeć z oliwą, białka posiekać drobniutko, dodać 1 kwaskowate jabłko też drobniutko posiekane, wymieszać wszystko razem, ułożyć masę na półmiseczku i... zrobić bardzo uroczystą minę. Z zupełną pewnością można będzie zaobserwować u spożywających ten specjał, jak im się uszy trzęsą.

„SKUMBRJA" Z MERLANÓW.

Skumbrja to nieznana u nas ryba. Zamorski specjał. Ale my ją zrobimy ze zwykłych merlanów — śledzi, których całe kilo kosztuje teraz 50 groszy.

Oskrobane, wymyte merlany (bez głów i ogonów) usmażyć — jak każdą inną rybę — na maśle lub oleju. Po ostudzeniu wyjąć ości, pokroić na spore kawałki. Zagotować ocet z pieprzem i listkami, ostudzić, zalać nim usmażone merlany. Zostawić w occie na 12 godzin. Następnie zagotować marmeladę pomidorową (na kg. merlanów 10—15 deka), dodać trochę oliwy i wlać do zalanych octem merlanów. Można też dodać ugotowanej (posiekanej miałko) w oliwie cebuli. Kto nie znosi octu — może zalewać merlany sokiem z cytryny.

No i ani pary z ust nie puścić, że to zwykłe śledzie, choć się tak szumnie nazywają. Skumbrja i basta.

Wielkie pranie

W sobotę matka zapowiedziała, że w poniedziałek będzie „wielkie pranie".

Westchnęłam, bo uważałam to za ciężki dopust. Wielkiemu praniu towarzyszy stale atmosfera „wojny domowej".

Szturchańce, czasem uderzenie kawałkiem mokrej bielizny, bolesne pociągnięcie za włosy dostaje się dzieciom. Z ojcem także niema porozumienia, zły ucieka z domu, co matkę doprowadza do pasji. Balja zajmuje honorowe miejsce na środku kuchni, cebrzyki, garnki pełne wody, stoją po kątach.

Matka wstaje o czwartej, żeby wykorzystać kilka wczesnych godzin, w pośpiechu pierze bieliznę z pierwszego brudu. Śniadanie przygotowane czeka na ojca i dzieci.

W złym humorze wyprawia nas do szkoły i ojca do pracy.

Później dopiero zrozumiałam, że wynikało to ze zmęczenia, wyczerpania pracą, a był to dopiero początek znojnego trudu.

Zastanawiałam się często, chociaż byłam jeszcze małą dziewczynką, dlaczego tak ciężką pracę wykonują kobiety. Ojciec i brat byli silni i zdrowi, a matka miała pooraną twarz, nabrzmiałe ręce i nogi.

Pogniewał się na mnie ojciec, kiedy zapytałam, dlaczego nie pomaga przy praniu. „To babska robota, ty głupia dziewczyno". Do późnej nocy w kuchni, zalanej mydlinami, matka stała przy balji.

Ze ścian ściekała woda, bo para osiadała wszystkie sprzęty i ubrania wilgotne, nawet pościel na łóżkach.

Nienawidziłam wielkiego prania, najchętniej uciekłabym z domu przed matką, której nie poznawałam — taka była zła i niesprawiedliwa. Czytałam w gazecie już dawniej, że w Wiedniu socjaliści wybudowali wspaniałe domy z pralniami centralnemi. Podobno całe „wielkie pranie" załatwia się w 2—3 godzinach, razem z wysugospodarstwie domowem?

Czy kobiety nasze muszą się tak strasznie męczyć, niszczyć zdrowie przy praniu? Dlaczego w Polsce nie buduje się domów dla ludzi pracujących, żeby mogli mieszkać wygodnie i kobiety, żeby nie musiały tak ciężko pracować w gospodarstwie domowem?

Proszę Sz. Redakcję, żeby mi dała odpowiedź: nietylko ja, ale wiele kobiet czeka.

Agnieszka T.

KURSY KROJU i SZYCIA

Dla Czytelniczek naszego pisma uzyskaliśmy od kursów kroju i szycia p. Stanisławy Kłoszowskiej w Warszawie, ul. Chłodna 43, — 10 miejsc bezpłatnych i 30 miejsc ulgowych po 25 zł. Normalna opłata wynosi 150 zł. Nauka odbywać się będzie w godzinach popołudniowych. Jeszcze kandydatki mogą składać podania do kancelarji kursów w Warszawie, ul. Chłodna 43 — osobiście od godziny 16-tej do 20-tej. Zamiejscowe załączyć winny znaczek pocztowy na odpowiedź.

Redakcja i administracja — Warszawa, Warecka 7, tel. 230-52. P. K. O. Nr. 6922. Za dział ogłoszeń redakcja nie przyjmuje odpowiedzialności.
Pod redakcją: Doroty Kłuszyńskiej Redaktor odpowiedzialny: Apolonja Rybakowa. Wydawca: Centralny Wydział Kobiecy Pol. Partji Socjalistycz.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. Odbito w drukarni „Robotnika", Warecka 7.